

Od autora: Kolejny kawałek zainspirowany prozą Bukowskiego, a konkretnie powieścią "Kobiety", kto czytał, to wie, o co biega, tradycyjnie język stylizowany, zapraszam do wspólnej zabawy!

W seksie szukamy pociechy, gdy cierpimy na niedostatek miłości.
(Gabriel Garcia Marquez)

Zanim ją poznałem, miała narzeczonego Billa, który podobno miał dużego penisa. Grubego i żyłastego, takiego, co potrafi posłać kobietę w gwiazdy i odebrać rozum. Sprowadzić jej byt do wiecznego i niekończącego się proszenia o więcej, i sprawić, by sens jej egzystencji sprowadził się do kręgu płci, pożądania i zaspokojenia. Tak gadali ludzie, a oni zawsze mają wiadomości z pierwszej ręki i z drugiej nogi. Z niejednego pieca chleb jadłem i wielokrotnie robiłem ostro „na wielu frontach”, nie wiążąc się długo z tą jedną, jedyną. Mocno trzymałem stery w dłoniach, a wszystkie ślicznotki jadły mi ochoczo z ręki, jakbym był odlotowym magiem z krainy Latających Fallusów, które stawiają zawsze na sztorc kropkę nad „i”, a cały kobiecy ród radośnie pieje w zachwycie, bo każdy komin potrzebuje solidnego kominiarza z wielką kulą.

Jednak pewnego dnia, słodka blondynka imieniem Mary zaciągnęła mnie do ołtarza. Mam z nią dwie córki i przez jakiś czas nie była moją jedyną. Zew płci – tak to nazwijcie, ale zobaczyć Grace, to poczuć, czym może być solidne rżnięcie. Choć byłem mężem i ojcem, tamta śniła mi się po nocach. Ponieważ miałem na nią oko, a Billa nigdy nie uważałem za kogoś lepszego od siebie, któregoś dnia w lipcu wpadłem do niej do cukierni, gdzie przez większość dnia soczyście kręciła kuprem, będąc główną atrakcją lokalu, do tego stopnia, iż młodociani, spoceni kolarze często i namiętnie robili coś bardzo naturalnego i odwiecznego pod blatami stołów, przy których akurat dane im było zasiąść i podziwiać Grace i jej przelewający się na boki, obfity zadek, w który wpatrzeni bezrozumnie ślinili się, i nie bacząc na pełne wstrętu spojrzenia starych panien z sąsiednich stolików, zamierzali dojechać do ostatniego przystanku.

Kiedy tam wszedłem, pierwszą rzeczą, jaką usłyszałem, był głuchy stukot podrzucanych ku górze stolików, a zaraz potem ujrzałem niebiańskie spazmy na twarzach fanów dwóch kółek. No i ją, poprawiającą sukienkę, mocno opiętą na szerokich biodrach. - A niech to – stęknąłem nieczysto na jej widok i poczułem, że spodnie robią się za ciasne. Całe szczęście, że miałem długą koszulę w paski, którą kupiłem dzień wcześniej za dwa dolce od Bobby’ego Ventury, tego samego, który w 1965 miał się w piękne, letnie popołudnie utopić w dole z gnojówką, lub jak mawiali inni, być w złym momencie w złym miejscu i spotkać tam pecha, ale tego dnia, kiedy po raz kolejny poczułem się mężczyzną, Bobby jeszcze śmigał po świecie, a ona była jak dynamit – tylko podetkać lont i wypalić w kosmos, krzycząc „ole!”.

- Cześć, Mike – zagadała pierwsza.

- Cześć, mała, pogadamy? – poleciałem grubo.
- Jasne – odpowiedziała.

W jej uśmiechu odnalazłem wszystkie moje marzenia erotyczne, jakie miałem od zawsze i jakie zamierzałem mieć po kres mych dni, póki słodki Amor pozwoli strzelać strzałami do tej, jednej, właściwej tarczy.

- Ale dupa - jęknął jakiś zaśliniony szczaw, siedzący pod oknem i jedzący loda.
- Ohyda! – wypaliła jak z armaty leciwa matrona, pałaszująca z dzikim wytrzeszczem pączka, o wyrazie twarzy, który śmiało nazwałbym „odmóżdżonym”.
- Miła panna – z głębi sali popłynął egzaltowany, matowy głos starszego dżentelmena, odzianego w szary, tweedowy garnitur, który rozmarzonym wzrokiem błdził po ciele Grace, puszczać duże, tytoniowe kółka.

Miała klasę, to wszystko, co powinna mieć moja kobieta, więc zagałem na luzie:

- Co powiesz na ostrą przejażdżkę?
- Gdzie? – nawet oko jej nie drgnęło.
- Nie pytaj, gdzie: zapytaj jak.
- Masz mi coś do powiedzenia?
- Gdzie Bobby?
- Szuka dla nas knajpy na wesele.
- Palisz się do tego?
- Chyba cię pogięło.
- To po co się z nim bujasz?
- A kto powiedział, że się bujam?
- Ludzie mówią, że ma dużego kutasa.
- Bo ma.
- To nie chcesz takiego męża?
- Nie chcę, póki co, żadnego męża, ale on to olewa – robi swoje.
- Co, niby?
- Posuwa mnie i szuka knajpy na wesele.
- To dużo.
- Jak dla mnie w sam raz, ale bez tej opcji z weselem.
- Czyli dobrze, że cię posuwa, tak?
- Właśnie.
- Szczera z ciebie dziewczyna, Grace.
- To co z tą przejażdżką?
- Jest taka opuszczona stodoła za Freaky Creek, trzysta metrów od zajazdu „Honky Tonk Angel”.
- Czyli?
- Mam zamiar się tam przetransferować. Z tobą, rzecz jasna, może dziś po pracy, co?
- Masz jakieś konkretne plany?
- Tak.
- Chcesz mnie solidnie zerznąć?
- Zgadłś.
- Wiesz, że poza Bobby’em rznąli mnie już chyba wszyscy w naszym miasteczku.
- Ja cię jeszcze nie rznąłem.
- To jesteś ostatni w kolejce.
- Ostatni będą pierwszymi – rzekłem filozoficznie i poprawiłem luźne już spodnie.
- Mam nadzieję – oblizła się tak, że zrobiło mi się zimno.

- Kiedy kończysz?
- O siódmej.
- Podjadę po ciebie.
- Ok. Zrobiłeś mi smaka.
- Kręcisz mnie.
- Ty mnie też. Wyglądasz na takiego, co wie, czego potrzeba prawdziwej kobiecie.
- To mamy noc ze snów. Przy mnie zapomnisz o tych koleśiach z przeszłości.
- Kup piwo, lubię potem wypić jedno lub dwa.
- Kupię karkówkę, zrobimy sobie grilla. Zostaniemy do rana w tej stodole. To odludzie. Jestem cholernie napalony. Nie wiem, czy mam takiego drążka jak Bill, ale umiem go sprawnie używać.
- Coś dla mnie.
- To jesteśmy ustawieni – mówiąc to poczułem, że spodnie znów stają się za ciasne.
- Tylko na koniec zaśpiewaj mi Elvisa.
- Jasne, co zechcesz, znam go na pamięć.

Byłem podjarany na nią jak pies.

Choć przebierałem w tym towarze jak w ulęgalkach, takiej maszyny jak Grace próżno by wśród nich szukać – była wszystkim, co mogło zaspokoić mężczyznę i stać się radością jego lędźwi, rasowa samica, mogąca rozpać do czerwoności nawet starca na łożu śmierci.

Cały dzień chodziłem jak w transie, nerwowo ugniatając rozporek.

W sklepie u „Wyczesanego Teda” kupiłem okazałą paczkę karkówki i dziesięć piw, oprócz tego tani grill i jednorazowe, papierowe talerzyki oraz plastikowe sztućce.

Jadąc po nią myślałem o tym, czy siano wchodzi w tyłek, kiedy jest się z kobietą, lub czy przypadkiem nie wchodzi jej do środka, bo wtedy to już może być prawdziwa tragedia.

Na tę okoliczność zabrałem z domu koc, na którym zamierzałem być tym ostatnim, czyli pierwszym, bo gdybym nie zabrał się za Grace, nigdy nie nazwałbym się mężczyzną, a więc prawdziwym samcem, który sam szuka zdobyczy, a kiedy ją upatrzy, załatwia całą resztę.

- Stoi ci? – zapytała, wsiadając do samochodu.
- Jasne.
- Zerzniesz mnie ostro tej nocy?
- Zgadza się.
- Zerwałam z Billem.
- Czemu?
- Miał za dużego kutasa.
- Myślałem, że im większy...
- Bzdura. Liczy się całokształt, Mike. Nadmiar mięśni osłabia mózg. Coś kosztem czegoś.
- Cholernie mnie rajcujesz.
- Jedź już. Jak tak gadasz, robię się mokra.
- A ja mam za ciasno w gaciach.
- Masz usta jak Mick Jagger.
- I język, który wie, co lubią napalone laski.

Stodoła była niczego sobie – właściwe miejsce, by stracić tu cnotę lub by potwierdzić swoją męskość, wszak nie ma to jak pukanie na sianie, nawet się rymuje, a kobiety lubią poetów, nie wszystkie, rzecz jasna, te bardziej konkretne wolą ostrych zawodników, którzy wywrócą świat do góry nogami, rozpalą podbrzusze, a na koniec zaspokoją po pańsku, tryskając nasieniem gdzie popadnie.

- Grace, ta stodoła jest nasza! – krzyknąłem, wchodząc do środka z grillem w dłoni.
- Czyli najpierw jemy, tak? – zapytała.
- Masz stringi?
- Tak, czarne.
- A lubisz, jak ktoś zdejmuję ci je zębami?
- No masz.
- No to...

I wtedy się zaczęło.

W ciągu dziecięciu sekund rozebrałem się do naga, potem to samo spotkało Grace, by na koniec zlec w sianie w miłosnych uściskach.

Miałem pewien problem, bowiem mój członek ciągle natrafiał na suchą i nieprzyjemną kupę ostro zakończzonego siana, a bardzo już chciałem być w niej, lecz los lubi polecieć w kulki i zasłaniać się sianem w chwili, kiedy człek jest tak napalony, że już bardziej być nie może, a co za tym idzie, zdeterminowany...

- Coś mnie drapię w główkę – stęknąłem. – Trza rozłożyć koc.
- Jestem blisko! Pieprzyć koc! – krzyknęła rozpalona i zaczęła napierać na mnie biodrami.
- No to wchodzę!
- Och!
- Ostatnio tak się czułem na wyścigach konnych w Santa Anita.
- Miałeś tam jakąś dupcię?
- Jasne. Światową. Podobno tuż przed swoją śmiercią pukał ją sam James Dean.
- Poważnie?

I wtedy to usłyszeliśmy.

Jakby wybuch, jakby mocne, tępe uderzenie w coś twardego.

Głuche, jak otwarcie piekielnych drzwi.

Z wrażenia pierdnąłem donośnie i przeciągle, a Grace, w odruchu naturalnego lęku przywarła do mnie ściśle, co nie przeszkodziło mi bynajmniej w puszczaniu kolejnego piarda, tym razem głośniejszego, bowiem to, co ujrzałem, przeraziło mnie nie na żarty, co z kolei przełożyło się na gazy, które wtenczas mocno wypełniły moje trzewia, chcąc na świat wyjść i zabrznieć po pańsku.

- I co teraz? – zapytała drżącym głosem.
- W takich chwilach większość mężczyzn ma tyle rozumu, co serka pod napletkiem – odparłem rezolutnie, starając się zachować zimną krew, lecz niełatwa to była rzecz, jako że nie byliśmy już w stodole sami, a nasze krzätänia przedplcenne zostały gwałtownie przerwane i przeniesione do czasu przeszłego niedokonanego, i jeno strach pozostał za towarzysza...
- Jak myślisz, oni tu zostaną?
- A czort ich wie.
- Czemu są tak dziwnie ubrani?
- Bo to strażacy.
- Ale nie ma pożaru.
- A musi być?

Z wielkiego, czerwonego samochodu wyskoczył mały, grubawy człowieczek, wyglądający jak z tandetnego komiksu, i natychmiast zdjął spodnie, tylko po to, by po chwili potrząsać sflaczałym, obwisłym fallosem, drapiąc się zawzięcie po obwisłej mosznie.

- Sikawkowy Ron, lać mi tam wodę do węży, dziś wieczorem mam zamiar mieć solidny wytrysk!
- Tak jest, szefie! – padła odpowiedź.
- Takiego spustu jeszcze nikt nie widział i już nigdy nie zobaczy!
- Tak jest, panie Devill!
- Chcę zalać cały świat.
- Ma pan prawo.
- Spuszczę się jak król!
- Jak król, jak król!
- Bo dobry zrzut, to dużo płynu.
- Oj, tak, oj dużo.
- Patrzcie na mojego małego, zaraz urośnie. Coś mi się widzi, że obejrzymy solidny wzwód!
- Tak, tak!
- Lać wodę, bo mieliśmy tu być o tej porze.
- Tak, to prawda.
- Sikawkowy Ron, wszystko ma być mokre.
- Tak jest, szefie.
- Nawet ściany i sufity polać!
- Się robi!
- A i to siano, co tam stoi, zlać mi, a solidnie!
- Wykonane!
- Patrzcie, jak mi stanął. A główka, jaka nabrzmiała, czerwonawa, cudeńko! Fallus w czystej postaci, praojciec, pramoc i prapotęga. Czyste odrodzenie, kolejne narodzenie. I czas stoi w miejscu, kiedy dźwiga się ku światu, wielki, żyłasty...
- Tak, panie Devill!
- Wytrysnąłem...
- Oj, tak, i to jak...
- Jakby mi wioskowa dziewczka possała.
- One lubią mieć usta pełne roboty!
- Jakby wzięła i solidnie obrobiła mi ptaka.
- One mają muzyczne usta – do każdego fleta pasują.
- Właśnie to miałem na myśli, a do mojego już w szczególności. Jest taki świeży, taki wyjątkowy, taki mięsisty...
- Dziewki po to się rodzą, panie Devill.
- I kto by to pomyślał, w takiej lichej stodole radość lędźwi poczuję. Moja surówka namaści wszystko, co wokół, i w tym wytrysku świadectwo czasu ukryte będzie.
- Nie ma to jak sztyftowanie na sianie!
- A co wy o tym wiecie?
- A z obserwacji.
- No to rozumiem.
- Tyle już razy polewałem...
- No to już schowam, już się świata naoglądał – włącz do gaci i zwijamy się, chłopaki!
- Się wie, się rozumie!
- Do następnego.
- Do następnego.

Było nam cholernie zimno, jako że całe siano opadło na nas, ciężkie od wody.

Upiorni strażacy zniknęli tak szybko, jak nagle i gwałtownie się pojawili, i po chwili miałem wrażenie, że

wszystko, co przed sekundą widziałem, było jeno chorym wytworem wyobraźni.

Tylko zziębnięte, nagie ciało świadczyło o tym, że nie był to zwid.

Grace trzęsła się jak osika, a mnie minęła wszelka ochota na amory – marzyłem o ciepłym, suchym ubraniu i butelce dobrego piwa, które mieliśmy schowane za sianem, przy ścianie, gdzie postawiłem grilla wraz z całym, naszym dobytkiem.

- Wiesz, Grace, dziś już z tego nici. Cała ta kaszana wybiła mnie z rytmu – rzekłem szczerze, bo tak się sprawy miały.

- Co się odwlecze... - ta odpowiedź niosła w sobie światło.

- Mój mały o tobie nie zapomni.

- Mam nadzieję. Ale co to wszystko było?

- Nie wiem, Grace, to jakieś porąbane.

- Co oni tu niby gasili?

- Nic.

- Jak to nic?

- To jakaś posrana sprawa, może jakiś tajny projekt rządowy, diabli wiedzą...

- Diabli?

- A tak mi się wymknęło.

- Przecież nie było pożaru.

- Ano, nie było...

- To po jakiego grzyba zlewać całą stodołę?

- Bóg raczy wiedzieć, to znaczy, strażacy - wymamrotałem, po czym zwlokłem się z kupy mokrego siana, by w końcu odnaleźć coś na grzbiet, licząc, iż może to być wciąż niezamokłe, oraz by osuszyć w spokoju ducha parę butelek piwa i spędzić jakoś tę noc z kobietą, którą miałem dziś zaspokoić, lecz woda stanęła nam na drodze, srodze każąc za... właśnie, za co?

Dziwne, osobliwe...

Ale zaistniałe.

Wszystko potraktowałem jako zbieg okoliczności i nie miałem zamiaru tego rozgryzać.

Tej nocy nie rozpaliliśmy grilla, bo woda zrobiła swoje.

Pijąc do późna piwo wspominaliśmy chwile, które nadal wydawały się totalnym bzdetem, jednak wszechobecna wilgoć przywracała nam trzeźwe myślenie i to było w tym wszystkim smutne, bo namacalne.

Na koniec poszliśmy spać do samochodu, by rano wrócić do miasteczka.

Kiedy wysiadała, raz jeszcze spojrzałem tęsknym wzrokiem na jej tyłek, ale życie jest długie, więc mając pewność zwycięstwa, mogłem spokojnie czekać na kolejną szansę na Grace.

- Pa, Mike – szepnęła.

- Pa, mała – i mówiąc to, odjechałem do domu.

W tamtym okresie często się masturbowałem, myśląc o niej, byłem tylko facetem.

Weszła mi do głowy i nie mogła znaleźć z niej wyjścia.

Kiedy byłem nocą z Mary, marzyłem, że to tamta.

Kiedy Mary masowała mi to i owo, widziałem rękę tamtej.

Oszukiwałem się każdego dnia, o każdej porze, a żona była marnym substytutem.

W myślach dziko rznąłem Grace, aż iskry szły naokoło – stała się moim bytem, potrzebą mych łędźwi, najdziksza perwersja, jaką miałem, odkąd pierwszy raz bawiłem się małym, patrząc na nogi zabójczej Marylin i wyobrażając sobie, że leżę między nimi, ostro posuwając Boginię Kina.

A posuwałem ją prawie codziennie, podczas gdy koledzy z klasy wciąż bawili się żołnierzkami lub w niemęskim nieuświadomieniu bezrozumnie kopali piłkę, zamiast obmacywać dziewczyny, wszak po to były i na to skrycie czekały.

Ta mała z cukierni sprawiała, że stał mi na zawołanie.

Wystarczyła mała myśl, swobodne wyobrażenie, pragnienie spełnienia.

Już wiedziałem, że ustawię kolejną randkę, by w końcu dać jej prawdziwy ogień.

Z tej drogi nie było już odwrotu – musiałbym się drugi raz urodzić.

Póki co byłem rozpalony jak średniowieczna pochodnia i chciałem mieć to już za sobą.

I kiedy pewnego dnia wpadłem do niej, powiedziała:

- Tylko nie w tamtej stodole, Mike, jak tam już nie wrócę.
- Mam nową metę – rzekłem z dumą, bo jakiś czas wcześniej odkryłem pewną opuszczoną chałupę niedaleko Western Oak, w zasadzie w lesie, więc była przed nami pełnia prywatności, o jaką mi wszak chodziło.
- Dawno nie miałam mężczyzny.
- Będiesz mieć mnie.
- Choćby dziś.
- Czytasz w moich myślach: wieczorem jedziemy w nowe miejsce, Grace. Mam trochę kielbasy, musztardę i piwo, nieźle się zabawimy. Na wszelki wypadek biorę koce, lichy nie śpi. Tym razem sprawy są pod kontrolą. W końcu musi się udać, nie?

Żonie powiedziałem, że jadę ze Stevie'm Malone na pstrągi i wracam następnego dnia.

Układ był czysty, mój kumpel zawsze mnie krył, jeśli chodziło o podryw.

Był moim żelaznym alibi i tym razem miało być podobnie.

Z pulsującym wzrodem zajechałem przed cukiernię – Grace obciągała sukienkę na biodrach i poprawiała makijaż, i jak zwykle przyprowadziła mnie o potężny zawrót głowy.

Nie mogłem się doczekać, kiedy ją wreszcie zerznę, jeszcze moment, a bliski będę eksplozji.

Rzecz jasna, nie chciałem być tej nocy Szybkim Lopezem, za długo na nią czekałem.

- Jestem taka wilgotna – szepnęła zaraz po wejściu do auta.
- A mnie sterczy jak sosna.
- Jedź już, szkoda czasu.
- Zgadza się.
- Zaśpiewaj mi po wszystkim Elvisa, ok.?
- Ok.

I pojechaliśmy do opuszczonej chałupy, by dać świadectwo prawdzie.

Około ósmej byliśmy na miejscu.

Okolica drzemała w spokojnym śnie, a my szykowaliśmy się do ognistej nocy.

Domostwo wyglądało jak ze złego snu, ale grunt, że miało dach i wszystkie okna.

Jak tylko zamknęliśmy drzwi, natychmiast zapaliłem trzy świece, rozpałem grilla i położyłem na ruszcie kielbasę.

Dałem Grace butelkę piwa i sam pociągnąłem ze swojej – impreza właśnie się rozkręcała.

- Ale masz klucz francuski w rozporku – rzekła z podziwem w głosie.
- Wyjąć, wsadzić – męska rzecz – odparłem, puszczając nosem gazy.
- Lubię niemieckie piwa.
- Ja też, bo po nich nieźle stoi.
- Miło słyszeć.

Przewróciłem kielbasę na drugą stronę, a potem usiedliśmy na podłodze na rozłożonym kocu i zaczęliśmy jeść.

Miałem sporo alkoholu, bo zawsze lubiłem pić z dziewczynami.

Pora była jeszcze młoda, więc nie śpieszyłem się ze swoją robotą, nikt nas nie popędzał.

Grace była moja i wiedziałem, że jak dam jej swojego drążka, to się wścieknie ze szczęścia.
Patrzyłem na jej pełne, opalone uda i czułem miłe pulsowanie w kroczu.
Nagle przypomniało mi się, że mam w bagażniku trochę cebuli.
Postanowiłem skoczyć po nią, lubię kielbasę z cebulą.

W chwili, kiedy wychodziłem na dwór, zrobiło się nagle przeraźliwie jasno jak za dnia i przed sobą uj-
rzałem ogromne reflektory jakiegoś, wielkiego pojazdu, którego silnik zawarczał złowrogo.
Instynktownie cofnąłem się, przywarłem do bocznej ściany i patrzyłem na dziwny widok.
Nie podobało mi się to wszystko...

- Kapitanie Devill, już? – krzyknął młody mężczyzna.
- Lać! – rozległ się rozkaz wypowiedziany przez faceta, który wyglądał na kogoś, kto miał akurat zamiar
pierdnąć.

Wtedy woda, pod demonicznym ciśnieniem, poszła na okna, rozbijając je w drobny mak.
Jak z oddali usłyszałem stłumiony krzyk Grace – zapewne została zalana wodnym strumieniem.

- Sikawkowy Ron, jest dobrze! – zawołał Devill, po czym wyjął sflaczałego fallusa i radośnie nim poma-
chał. – Ale zwalka, ale czad! Zróbcie tu kipisz, chłopaki!

- Się wie, się rozumie!
- Dam im solidne tryskanie, po pańsku, po szlachecku!
- Da im pan to!
- Kocham takie żwawe zwalki!
- My też!
- Hej, ho, się polało, polało!
- Tak jest, kapitanie Devill!
- Czy wy też szczytujecie tej nocy?
- Ma się rozumieć!
- Nie żałować wody – woda nie złoto.
- A damy, ile wlezie.
- Sikawkowy Ron, jestem z was zadowolony, mam erekcję!
- Zasłużył pan!
- To nie jakieś tam, młodzieńcze polucje, to wytryski na skalę światową!
- Na światową!
- A zerwać mi ten przebrzydły dach, niech woda zaleje wszystko!
- Niech zaleje – krzyknęli strażacy, po czym ciśnienie stało się jeszcze większe i wnet dach pofrunął
gdzieś na bok, zdmuchnięty niczym licha kartka papieru.
- To jest to! – ryczał zachrypłym barytonem kapitan.
- To jest to! – odpowiadała jak echo ekipa strażacka.

- O rany... - jęknąłem, stojąc przyklejony do muru, poza zasięgiem sikawek.
Byłem przerażony, bowiem poznałem ich od razu – to oni urządzili nam niespodziankę ostatnim razem, i
teraz wrócili do nas jak po sznurku – jak to możliwe, jak to pojąć?
Diaboliczny kapitan i jego ludzie po raz kolejny robili nam wodną łaźnię, bawiąc się doskonale i nie
bacząc na to, że nachodzą nas po nocy w miejscu, w którym nie ma nawet pożaru.

Ta specyficzna okoliczność mocno mnie zastanawiała.
Przecież nic się nie paliło, jakie w takim razie mogło być wytłumaczenie owej interwencji?
Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk kapitana:

- Kończymy, chłopaki, czas schować ptaki! Ale mi się rymnęło, że ho ho! Zwijamy się na bazę. Fajnie
było, ale się skończyło! Zafallowaliśmy na całego! Wóz numer 333, odjazd!

Chwilę później przerwano wodny ostrzał, by spokojnie wycofać się sprzed chałupy.

Stałem tam jeszcze kilka minut myśląc o tym, jak bezszelestnie odjechali, jakby wóz strażacki był łodzią, która cicho odpłynęła, niesiona ku nieznanemu przeznaczeniu siłą dziesiątek wiosł...

Gdy znalazłem się już w izbie, usłyszałem cichy szept Grace:

- Tu jestem.
- Nic ci nie jest? – spytałem.
- Co to było?
- Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. To jakieś świry o mocno zrytych beretach.
- To chyba nie przypadek. To było jak koniec świata...
- Skąd mogli wiedzieć, że tu ktoś jest? Przecież nie czytają w myślach.
- Boję się...
- Zabierzmy piwo i chodźmy spać do samochodu. Następnym razem się uda. Jeszcze w tym tygodniu znajdę nową miejscówkę, ale taką, że nikt nas nie namierzy. Żarty się skończyły.

Szybko uwinąłem się z tym koksem – czas to dolar, a dolar to czas.

A ja chciałem jak najszybciej poczuć się samcem i zdobywcą.

Za obskurnym, oldskulowym barem „U Sztynnego Sama” odkryłem, za radą Stevie’go Malone’a opuszczoną, pomarańczową przyczepę kempingową, w której, jak twierdził mój kumpel, nikt nie mieszkał od wieków, więc czemu nie uderzyć właśnie tam?

Podjechałem w to miejsce w ciągu dnia – malina, nie lokal, tylko wchodzić i sztyftować.

Radosny jak poranny, wiosenny skowronek, odwiedziłem Grace, by jej zakomunikować, że mamy gdzie spędzić tę upojną noc ze snów, i że tam żadni strażacy nas nie znajdą, chyba że są wysłannikami piekieł, albo FBI wysłało ich naszym tropem, bo wytypowano nas na ofiary tajemniczych, zagadkowych eksperymentów, w co raczyłem mocno wątpić.

- Bomba, Mike, kocham przeżywać orgazm w przyczepach kempingowych! To jest dopiero odlot! Pobujamy lokalem!
- Jasne, mała, na moim koniu odstawisz rodeo stulecia. Nieważne spodnie, tylko serce, które w nich bije.
- Tylko nie bądź za szybki.
- Rano się masturbowałem, więc każdy, kolejny numerek będzie coraz dłuższy – czysta przyroda, Grace, to się po prostu dzieje.
- Słodko!
- A żebyś wiedziała.
- O siódmej czekam.
- Będę. Kupię coś na ząb, może zrobimy sobie grillowane skrzydełka po meksykańsku, Johnny Buscalione ma w swoim dyskoncie tanie, argentyńskie piwo, więc będzie klawo jak cholera, tym razem powymiamy. Mam nawet zapachowe świece z Indii!
- O!
- No to wszystko jasne.

Kiedy zaopatrywałem się w browar u Johnny’ego, ni stąd, ni zowąd nawinął się jakiś podstarzały, krzykliwy strażak, który akurat kupował wieprzowinę w promocji i ostro wyklócał się przy kasie, bo twierdził, że kasjerka orznęła go na parę centów, a orznąć strażaka w naszym stanie to już totalny upadek, bo to fach, przy którym każda laska ma niewybaczalnie miękkie kolana, a faceci przybijają piątkę i stawiają chętnie lekką ręką złoty płyn, dopóki klient ma ochotę na konsumpcję.

Postanowiłem z nim pogadać.

- Hej, możemy zamienić kilka słów?
- A coś ty za jeden, chłoptasiu?

- Mike, mam w miasteczku warzywniak, przy Bufallo Bill Street 15.
- Znałem twojego ojca, był jednym z tych ostatnich twardzieli, którzy umieli dosiadać na oklep dzikiego jak sto diabłów byka i jednocześnie palić wielkie, kubańskie cygaro. To były czasy. Dziś to same wymoczki z trocinami w gaciach zamiast jaj, nie umieją nawet porządnie zwalić konia, a o okiełznaniu dzikich zwierząt i kobiet wiedzą tyle, co mój pies o zapłodnieniu żyrafy.
- Tak, chyba ma pan rację.
- Co z nim?
- Miał rok temu zawał. I tak przeżył siedemdziesiąt sześć lat. Był rewelacyjnym facetem.
- O co chodzi, Mike?
- Zna pana kapitana Devilla? Wóz numer 333?
- O, kurwa...
- Co jest?
- Przypomniałeś mi coś, o czym wolałbym zapomnieć.
- Czemu?
- To dziwna sprawa była...
- Była?
- Tak, jesienią 1954, w Rockin' Side.
- Chcę poznać tę opowieść.
- No dobra, ale lecis na własną odpowiedzialność. Człenio był z lekka wygły, ale o tym za chwilę. Miał młodą żonę z Północy, taką rozbujaną, wiecznie napaloną maszynę z potężnym, mięsistym dupiszczem, że pukałbyś do utraty tchu, a potem powtórka. Obsługiwałyby dziesięciu, co nie znaczy, że miałyby dość. Ty byś wymiękł, ale nie ona. Raz widziałem, jak sikała w krzakach – takich ud już później nie zobaczyłem u żadnej. Teddy O'Rourke raz mi powiedział, że Devill, jak pochlał, zwierzył mu się, że mu przy niej nie staje, nic a nic. Nie szła mu ta robota. Mogła mu ruszać waflem, obrabiać, latać po pokoju nago w różowych szpilkach, nic, kaplica, i nawet nie drgnął, ale...
- Co ale?
- Kiedy gasili jakiś pożar, miał wtedy pełną erekcję i solidny wytrysk! Lubił się masturbować, gdy coś się obok paliło.
- Nie może być...
- Taka prawda, chłopcze, nie kituję. W młodości był windziarzem w tanim hotelu w Ohio, ale wywalili go na zbity pysk po tym, jak próbował zgwałcić sprzątaczkę. Wcześniej dwa razy przymknęto oko na to, że usiłował walić gruchę w miejscach publicznych. Jak widać, miał tyle rozumu, co potu na jajach w styczniowy poranek. Przez dwa tygodnie robił w fabryce kondomów w Teksasie, ale i stamtąd go wykopsali – ponoć kradł na potęgę. Potem został strażakiem, szybko awansował, piął się. Sporo pił, bo nie układało mu się z żoną. Ona czekała na porządne rżnięcie, a tu masz babo placek – chłop do bani!
- No to faktycznie chore.
- Pewnego, pięknego dnia zaczęła się szeroko puszczać z każdym, kto miał ochotę, ja też z tego pieca chleb jadłem, dość często, nie ukrywam, bo fujara nie rower, ale natury nie oszukasz, jak kobita daje, to się bierze – jak masz parcie na baby, to musisz je bolcować, bo inaczej cię rozerwie, nie jest tak, synu?
- Dokładnie, święte słowa. Też tak mam.
- No i nadstawiała każdemu psu w miasteczku, i zimą, i wiosną, i w trawie, i w wygodnych łózkach, aż on się w końcu o tym dowiedział – ktoś życzliwy doniósł. Świat to mała wioska, w której każdy patrzy każdemu na ręce.
- No i?
- Tego dnia, kiedy poznał prawdę, bo tak się składa, że informatorem był ten stary, pogięty sukinsyn, Freddy Mendoza, zatwardziały stary kawaler i onanista, który potem mi się beczelnie pochwalił, jechali wozem 333 na gaszenie pożaru w Rockin' Side, paliła się jakaś stodoła. Drogi tam na stoku, niebezpiecz-

ne, bo to górskie strony, no i nie wyrobili na zakręcie – wóz spadł w przepaść, wszyscy zginęli, co do jednego.

- Ale ja go widziałem dwa razy w tym miesiącu! Ja i... jeszcze ktoś.

- I tu jest pies pogrzebany. Wiesz, synu, czasami oni wracają...

- Że co? Jak to wracają?

- Ano, jakby nadal byli żywi, a są martwi jak kotlet. Nie tylko ty ich widziałeś.

- To byli inni?

- Masz, pewnie! Jak wyczują, że ktoś rżnie trefny towar, zjawiają się i leją wodą, aż strach się bać! Nie popuszczają. Są cięci zwłaszcza na takich, co to kiwają żony lub mężów. Devill ma nosa do tego wszystkiego – jeśli pukasz „na boku”, jego chłopaki cię znajdą, przynajmniej w tym stanie. Dalej pewnie ich moc nie sięga.

- To jakiś żart?

- Uważasz mnie za głęba? Mówię ci, jak się sprawy mają, a ty dośpiewaj już sobie resztę.

I jest coś jeszcze, niestety...

- Co takiego?

- Jeśli cię złapią na rżnięciu, a ty pomimo wszystko dokończysz swej robótki, już nigdy ci nie stanie przy żadnej babie.

- A skąd pan to wie?

- A z autopsji, chłopcze. Kiwałem moją starą z młodą Latynoską, która miała diabelski odkurzacz w ustach, jak ciągnęła, to czuleś w czubku głowy, w ogóle urodziła się do tych spraw. Pewnego dnia, kiedy ją posuwałem w krzakach, nadjechali ludzie Devilla i zaczęli lać na nas wodę, on wyjął knota i cieszył się jak dziecko. Ja jednak, znając już tę historię, nie uląkłem się i skończyłem z moją kobietą, co wcześniej zacząłem, choć było zimno i do dupy.

Stał mi jak kołek w płocie i nie mogli nic na to poradzić. Dogodziłem jej jak się patrzy. Potem już nigdy mi nie stanął. Devill powiedział, że gdybym się opamiętał i wrócił do żony, wszystko byłoby ok., ale ja wolałem postawić na swoim, dlatego jego woda zabrała mój wzwód. Przysięgam na wszystkie gorące towary, które kiedykolwiek pukałem, i te, które wciąż posuwam w snach. Koniec końców, moja stara zostawiła mnie dla jakiejś lesbijki imieniem Florence.

- Ja już chyba pójdę... - z mojej piersi wydobył się niewyraźny głos o niskim tonie.

- A co z tobą, Mike, czy ty aby...

- Do widzenia panu.

- No skoro tak gadasz.

- Muszę lecieć. Dzięki za rozmowę – i to powiedziawszy, poszedłem do samochodu.

Tego dnia nie rżnąłem Grace – wróciło racjonalne myślenie.

Są dni, kiedy z nieba leje się niewidzialny kubel zimnej wody, wówczas nie warto napierać.

Owszem, pojechałem po zakończeniu pracy pod cukiernię, ale postawiłem sprawy jasno: za jakiś czas wrócę i wtedy pomyślimy, co dalej z naszą znajomością, póki co, muszę na chwilę spasować i pozbierać myśli, to zawsze daje efekty.

Nie rozumiała, o czym do niej mówię, miała prawo, bo nie znała przecież całej prawdy.

Zawsze byłem zawziętym kolesiem i tym razem postanowiłem postawić na swoim.

Innej opcji nie przewidywałem, kłóciło się z tym moje rozumienie męskości i honoru.

Wciąż miałem przed oczyma widok Grace, jak poprawia na biodrach obcisłą sukienkę i pamięć wzvodu, jaki pojawił się w tamtej chwili, i właśnie te dwa czynniki nakazywały pociągnąć „ciąg dalszy” naszej skądinąd pechowej historii...

Kiedy pewnego dnia wpadłem do niej, od razu chwyciła mnie przy gościach za rozporek i przez chwilę namiętnie masowała, a ja z uśmiechem na twarzy, witałem się z ludźmi, siedzącymi przy stolikach i pa-

trzącymi na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby zobaczyli boską Marylin i jej podwiniętą sukienkę.

- Dziś? – zapytała.

- Dziś. Ale będzie trochę inaczej.

- To znaczy?

- Jedziemy do mojego kumpla z wojska, do Luizjany, na bagna, ma tam chatę, przysłał klucze. Mówiłem mu o nas. To równy chłop, sam ostro pogina na boku.

- Bosko! Ale czy muszę wziąć kilka dni wolnego?

- Właśnie to chciałem ci powiedzieć.

- Nie ma problemu. Wczoraj zrobiłam dobrze szefowi, więc mnie puści. Wystarczy jeden telefon, który zaraz wykonam, a jutro przyjdzie za mnie Suzie.

- No to jesteśmy w domu.

- No to dzwonię!

Jakiś czas później jechaliśmy już autostradą do Luizjany, a ona przez całą drogę ugniatała wybrzuszenie na moim rozporku, wesoło pogwizdując, czasami jedząc batony i pijąc ciepłą colę, co dawało mi bezcenne poczucie męskości i przeświadczenie, że los poda rękę.

W radio Johnny Cash śpiewał o człowieku, którego poszukuje policja w całych Stanach, i że takich, którzy się ukrywają, jest bardzo wielu, można by nimi zapłacić małe miasteczko.

Cieszyłem się, że zmieniamy stan, coś mi mówiło, że sprawy potoczą się jak trzeba i nic nie stanie nam na drodze, by dać upust namiętności i polecieć ostro w te klocki, aż ziemia się poruszy za każdym razem, kiedy w niej będę i będzie wrzeszczeć na całe gardło, bym nie przestawał, bym posuwał ją jak zwierzę, do utraty tchu, do ostatniego spazmu.

W bagażniku miałem kielbasę od Pablo Fernandez, który dał mi zniżkę za to, że sprzedaję mu tanio warzywa, oprócz tego kupiłem nowy keczup „Letni Pożar Podniebienia”, torbę papryki, cebuli i ogórków, chilijskie piwo „Torreador”, no i trochę pszennej pieczywa.

Na stacji benzynowej nabyłem butelkę taniej tequili, co by popłynąć ostro z całym tematem, bo jeśli nie teraz, to kiedy?

Czułem, że mamy przed sobą przygodę życia i zamierzałem wycisnąć z tej cytryny wszystkie soki, a potem powtarzać to przy każdej, kolejnej okazji, póki dane mi będzie czuć się mężczyzną, dopóki Grace nie zacznie obracać inny koleś z wiecznie stojącym fiutem.

Bo znałem ją i byłem pewien, że nikt nie jest w stanie utrzymać jej przy sobie na całe życie.

Chciałem mieć swoje pięć minut i tyle.

I miałem.

Dom kumpla okazał się małą chatą na długim cyplu, wysuniętym w głąb bagien.

Panowała tu atmosfera wyciszenia i zadumy, jakby nic nie zmieniło się w tym miejscu od wieków, uspio-nym w odrealnionym śnie o świecie bez maszyn, telewizji i prądu.

Od razu nam się spodobało – takich miejsc się nie zapomina, mają w sobie coś z magii.

- Mike, tu jest bosko – powiedziała rozanielona. – Jestem w siódmym niebie!

- Wiem, mała, lepiej być nie mogło – odparłem z dumą w głosie.

- Rozpał grilla, jesteśmy chyba głodni, co?

- Zgadza się, jak wilki.

Szybko się z tym uporałem i po chwili kielbasa od Pabla już skwierczała na ruszcie, obok rozłożyłem warzywa, aby się opiekaly, a sam poczułem, że spodnie robią się za ciasne.

Nadszedł czas.

Przyciągnąłem ją do siebie i wsunąłem dłoń pod sukienkę.

Nie miała majtek.

Była wilgotna i gorąca.

Zająłem się nią.

- Och... - jęknęła.

- Dobrze ci? – spytałem.

- Jasne – szepnęła.

- Rozbierzmy się. Te sprawy nie mogą czekać.

- Nakryj grill, to jedzenie się nie przypali.

- Dobrze.

Kiedy chwilę potem byłem już w niej i powoli oddawałem się najprostszym, człowieczym przyjemnościom, rozległo się głośne, donośne pukanie do drzwi, categoryczne i niepokojące.

Znieruchomiałem.

Kto mógłby znaleźć się tu o tej porze, na takim odludziu?

Przerwałem amory, ponieważ pukanie powtórzyło się ze zdwojoną siłą.

- Założę spodnie i zobaczę, o co chodzi – powiedziałem do Grace.

- Tak.

Dopilem piwo i otworzyłem drzwi.

Przedemną stał kapitan Devill i uśmiechał się przewrotnie.

W jego martwych oczach ujrzałem dziki błysk, pełen życia i przekory.

Wokół nie było żywego ducha, tylko on i ja.

- Podrzucicie mnie do Rockin' Side?

- A co, jeśli powiem „nie”?

- A powiesz?

- Nie wiem.

- To jak, jedziemy? Muszę tam być, chłopaki na mnie czekają.

- Będziecie polewać tej nocy?

- Chyba tak.

- Czy musi pytać mnie pan o zgodę?

- Nie, nie muszę.

- Więc po co ta gadka?

- Bo ty już odpadasz.

- Co to znaczy?

- Wiem, że wiesz. Dlatego jestem tu sam. Po co komu pokazać siły? Mam wrażenie, że pojedziemy razem, czyż nie?

Kiedy uśmiechnął się, zobaczyłem tylko czarne, spróchniałe resztki zębów, a w oczodołach zaigrały upiorne blaski nie z tego świata...

- Tak, zaraz będziemy gotowi – stęknąłem drewnianym głosem i poszedłem powiedzieć co nieco mojej kobiecie o gwałtownej zmianie planów.

Należała jej się ta prawda.

Potem jechaliśmy już do naszego stanu, Grace, ja i kapitan Devill, który siedział na tylnym siedzeniu i przez całą drogę nie powiedział ani słowa, czasem tylko chrząkał znacząco, jakby chciał przypomnieć nam o swojej obecności i pokazać, że wciąż tu jest i jest rzeczywistością.

Już nigdy nie usłyszałem jego głosu.

Kiedy mijaliśmy Rockin' Side, stało się coś dziwnego: demoniczny strażak po prostu zniknął!

Zjechaliśmy na pobocze, by napić się piwa - suszyło mnie jak cholera.

W środku nocy mały parking wydawał się dobrym miejscem na nocleg.

Nie zamierzałem dalej jechać, za dużo stało się po drodze, za dużo, bym mógł zachowywać się, jakby nigdy nic, bo czy mogłem po tym wszystkim?

Chciałem urządzić się i zasnąć.

Czasem tak niewiele trzeba, by ocalić spokój ducha.

Kiedy ostatnie piwo wylądowało w pobliskim rowie, szepnęła:

- Nie zaśpiewasz mi Elvise, co?
- Nie, Grace, przepraszam, ale to nie moja wina.
- Ale i tak było fajnie.
- Nie, nie było fajnie.
- Naprawdę mi na tym zależało.
- Mi też, jesteś świetną dziewczyną.
- Chodźmy spać, jutro też jest dzień.
- Tak, zapewne.
- Wpadniesz jeszcze kiedyś?
- Nie, Grace, to koniec, czasem po prostu to wiesz – i wypowiedziawszy te słowa, nakryłem się kocem. Tej nocy było naprawdę zimno.

10 lipca 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 07.11.2013 08:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.